



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:

Rocznie . . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).
Półrocznie . . . „ „ 90 (Złp. 6).
Kwartalnie . . . „ „ 45 (Złp. 3).

NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:

Rocznie . . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).
Półrocznie . . . „ 1 „ 21 (Złp. 8 g. 2).
Kwartalnie . . . „ „ 60 (Złp. 4 g. 1).

W CESARSTWIE:

Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 41 (Złp. 29 g. 18).
Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8).
Półrocznie, przez tegoż.

Prenumerować można *Zorzę*: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiej i we wszystkich Kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

Treść:— Twórcy Przemysłu; przez Ad. Gr.— Przesady ludu naszego;— Sąd Bocianów; (wiersz) przez J. Gr.— Dziwny swat.— Wizyty w Ochronach;— Rady lekarskie, (szczepienie ospy);— Dra Karwackiego;— Zagadka.

TWÓRCY PRZEMYSŁU

VIII.

Jerzy Stefenson.

Jerzy Stefenson, ów sławny mechanik, pozostawił jedyne go syna *Roberta*, który jako inżynier i kłodowniczy, słynne również zyskał w świecie imię. W dzieciennym wieku dopomagał w ciężkiej pracy ojcu; lubo ten dokładał wszelkich starań i nie szczędził kosztu, byle tylko synowi drogę do nauki ułatwić. Młody Robert uczęszczał do szkół, a potem do akademii w Edynburgu, stolicy dawnego Królestwa Szkockiego; tam nauki ukończył z chlubnymi dla siebie nagrodami. Potem pracował przy ojcu w fabryce machin i wiele nauką swoją przyczynił się do ich ulepszenia. Sam lub wspólnie z ojcem

powoływany za ocean, do Ameryki, to znowu do Norwegii, Szwajcaryi, lub Egiptu, zakładał koleje żelazne, budował ogromne mosty i tunele czyli podziemne drogi, przewyciężając wszędzie trudne do pokonania przeszkody.

Ci dwaj mężowie ojciec i syn Stefensowie, których zasługi pokrótce przedstawiliśmy, zawdzięczali wszystko swojej własnej pracy i wytrwałości. Słusznie też Jerzy Stefenson na biesiadzie wyprawionej dla uczczenia go powiedział o sobie: „W życiu mojem różne przechodziłem koleje; raz jadłem czarny chleb węglarza, to znowu zasiadłem z królami i panami przy wystawnych stołach. Dziś pociesza mnie to przekonanie, że praca moja nie była bezowocną, że nie napróżno żyłem!“ Oby z nas każdy przy schyłku życia mógł również powtórzyć: „I moje życie nie ubiegło napróżno.“

Ad. Gr.

PRZESADY LUDU NASZEGO

STRACHY.

— Opowiem wam zdarzenie, odezwał się raz ksiądz Świętosław do zebranej na plebanii gromadki ludu, — a w zdarzeniu tém rzeczywiście zobaczycie, jakto złośliwość zdobywa się na różne przebiegi. Przy dworach, jako wiecie, są popolicie domki dla czeladzi. W jednym mieszkala wdowa, której mąż służący dworski zmarł niedawno. Pan nie miał serca wypędzać na zimę pozostałej żony z dziećmi. Że zaś była to kobieta gospodarna i pilna, domek jój odznaczał się nie tylko czystością i porządkiem utrzymaniem, lecz na zimę był wylepiony zewsząd, a zatem wygodny i ciepły.

Tuż obok stał drugi podobny domek; lecz że w nim zamieszkała rodzina starozakonnych, która świeżo przyjęła chrzest święty i we dworze znalazła tymczasowe pomieszczenie, domek ten był opuszczony, obdarty, niewylepiony na zimę.

Nasz nawrócony znać, nie przepomniał, przyjąwszy chrzest, dawniejszych przebiegów swoich. Myślał przeto, jakimby sposobem przeprowadzić się do owego domku obok mieszkającej wdowy. Wpada więc na pomysł wystraszenia tej biedaczki z domu; gdy więc wszystko się uciszyło i w śnie głębokim zasyiała spokojnie, wstaje on, a tu i owdzie zarumotawszy to do drzwi, to do okien, kryje się do domu. Biedna wdowa zrywa się z łóżka, pali ogień, mówi pacierze, i gdy znów się uciszyło, ten niegodziwiec, kamieniami rzucając na dach i szturmując do drzwi, jeszcze ją bardziej niepokoi.

Przebiedowała noc jedną i drugą, a złe nie ustawało; wszyscy zaraz mówili, że to zmarły mąż jój straszy ją i niepokoi, i że powinna dać na nabożeństwo, i prosić księdza, żeby dom poświęcił.

Ksiądz odprawił nabożeństwo, nie odmówił nawet poświęcenia domu, ale ludziom wytłomaczyć nie mógł, że to coś innego być musi; bo zmarły nieboszczyk, będąc na sądzie Pana Boga, straszyć jój nie może.

Nie jednak i to nie pomogło; złe straszyć nie przestawało; owszem po nabożeństwie i poświę-

eniu domu jeszcze okropniej straszło biedaczkę.

Widząc wdowa, że już w domu tym wysiedzieć jój nie podobna, poszła do pana i przełożyła mu swoje nieszczęście. Pan ulitowawszy się jój, umyślił nowo ochrzczonej familję pszenić do tego domku, a ich mieszkanie oddać wdowie.

Na to też zakroił ów przebiegły filut; umiał i z tego korzystać. Bo gdy pan wezwał do siebie Stanisława (takie było imię nawróconego) a mówił mu, żeby swego mieszkania ustąpił wdowie, ten udał, jakoby o tém słyszeć nie chciał, bo kiedy tam straszy to i jego straszyć będzie i wystraszy mu żonę i dzieci.

Pan chcąc rzecz ukończyć i załagodzić, rzeknie: mój Stanisławie, zrób to dla mnie, żebyś oddał to mieszkanie tej ubogiej kobiecie; być może, że ciebie już straszyć nie będzie, a ja ci dam jędora na święta i ćwierć pszenicy.

— Cóż mam robić, jakoby przymuszony rzeknie Stanisław, dla pana to uczynić muszę; ale jakby i mnie tam straszło jeszcze, tobym musiał uciekać i szukać mieszkania gdzieindziej.

Lecz kiedy Stanisław nie straszył, to i straszyć przestało, a on zamieszkał przez zimę w chałupie czystej i opatrzonej; biedna zaś owa wdowa świeże swoje mieszkanie oblepiać i obiełać podczas zimy musiała.

— Jakże się wydało, Dobrodzieju, zapyta Bartłomiej, że to Stanisław takie figle płatał tej biedaczce?

— On sam potem w jakiś czas z tego przechwalał się i śmiał przed drugimi, otwarcie to wyznał nawet przed panem, który mu dał jędora i ćwierć pszenicy. Pan zgromił go o to, lecz on się tém składał, że jego żona taka nieporządna, a jemu zachciało się w ciepłym domu mieszkać przez zimę.

Widzicie więc, moi ludzie, jakie to są popolicie strachy na ziemi. Złośliwość ludzka wpada na różne fortele korzystania z ciemnoty i przesądu. Złodziej lub inny jaki niegodziwiec wypłoszy z domu lub z komory, a sam podtenczas plondruje i kradnie. Raz opowiedano mi, że we dworze zdybano lokaja, jak po nocy straszył wszystkich, jęczał, brząkał kajdanami, spać nie dał nikomu, a gdy się usadzili na niego i chwycili go, zapytany, zeznał, że dla

tego to robi, żeby państwo z tych dóbr wyjechali coprędzej do drugich, bo tam ma żonę i dzieci. Tego więc użył sposobu do przepędzenia państwa z jednych dóbr do drugich.

— Tak, mój Dobrodzieju, rzeknie Maciej, ja tyle lat już żyję na świecie i jeździło się nieraz po nocy, i koło cmentarza, i nigdy nie widziałem żadnego stracha. Ludziska tylko gadają, że ten to słyszał, inny co innego; lecz żeby kto sam widział na swoje oczy, takiego nie nadybie. Ale mój Dobrodzieju, złe, gadają ludzie, nieraz wodzi człowieka, że ten do domu trafić nie może, a niejednego już na bagna i topiele zaprowadziło.

— Mój Macieju, odpowie ksiądz pleban, zapewne, że to złe wodzi nie jednego, bo jak się kto upije, to go gorzałka wodzi, a niekiedy na bagna i topiele zaprowadzi; bo albo sam nie wie, gdzie jedzie, albo też zdrzemnąwszy się na wozie bydłęta same zawiodą go gdzieniebądź. Czasem też podczas ciemnej nocy, a niekiedy podczas zadymki śnieżnej, człowiek choć trzeźwy zbłąkać się może i z trudnością dostaje się do domu lub gdzieś na polu czeka dnia białego.

Takie i tym podobne wydarzenia w parafii podawały Świętosławowi sposobność w kilku następnych naukach dawać ludowi odpowiednie upomnienia i przestrogi. Niekiedy używał nawet groźby, jeśli znał zakorzeniony przesąd pomiędzy ludźmi, a inaczej usunąć go nie mógł.

Jak zagroził owój kobiecie, żeby przy połogu młodym niewiastom nie dawała ani kropli gorzałki, bo jakby która z tej przyczyny umarła, toby ją odesłał do sądu po ukaranie, tak samo zagroził ludziom, żeby umarłym nie sypano maku do ust, uszu i nosa, ani przewracano ich w trumnie twarzą do dna, ani ucinano, broń Boże! głowy; lecz jeśli by uważali po kolorze twarzy lub innych znakach, że może być śmierć pozorna, żeby natychmiast wezwali choć cyrulika dla przekonania się, lub pilnowali zmarłego, nie spiesząc się z pogrzebem, póki widoczne ślady zgnilizny się nie pokażą.

Dla tego to przepisy nie każą chować nikogo przed upływem czterdziestu ośmiu godzin, to jest po dwóch dobach, żeby się można było przekonać o rzeczywistej śmierci. Dla tego w niektórych miastach za granicą są urządzone *domy pośmiertne*, gdzie każdego umarłego skła-

dają i dotąd pilnują dzień i noc, póki nie okażą się widoczne ślady zepsucia ciała. Członki umarłego za pomocą sznurków łączą się z dzwonkiem będącym w mieszkaniu stróża, a najmniejsze poruszenie ręką lub nogą natychmiast porusza dzwonek i daje znać, że ktoś z tych mniemanych umarłych jeszcze żyje. W takim razie przywołują lekarza i dają pomoc wszelaką, jakiej potrzeba.

Rzadkie wprawdzie są tego rodzaju wydarzenia, ale gdyby udało się podać pomoc i przywrócić do życia jednego człowieka, uwolnić zaś od rozpaczliwej śmierci z głodu lub uduszenia, to jużby tego rodzaju ostrożność nie była zbytęzną.

Niedawno przed kilkunastu laty w naszym kraju taki okropny zdarzył się wypadek. Pochowano w grobie familijnym w kształcie kapliczki na cmentarzu zbudowanym, na ciężką chorobę zmarłego zbyt młodo i zawcześnie dziedzica. W kilka tygodni umiera wdowie po nim pozostałej dziecie; lecz jakaż była jej boleść, gdy otworzono grób, w którym pochowano męża? Biedak ten w letargu widocznie pochowany, pewnie niedługo po pogrzebie przyszedł do siebie, a wyszedłszy z trumny, doszedł do drzwi kaplicy okratowanej i zamkniętej, i pewnie długo jęczał i wołał, a nikt jego jęku i wołania nie słyszał.

Wycieńczony ciężką chorobą i takim opuszczeniem upadł przy kracie i tam ducha wyzionął; bo ciało jego tam znalezione.

Pytam was teraz, moi ludzie, gdyby kto z was usłyszał człowieka tak wołającego ratunku i zmiłowania na cmentarzu, a zatem pozoraie umarłego, a żywego rzeczywiście, to czyżby kto z was poleciał po siekiere do domu, żeby mu głowę uciąć; czy raczej nie biegnąby co prędzej powinien, żeby dać znać ludziom, iżby kwapili się doń z pomocą i ratunkiem?

— O, tak mój Dobrodzieju, to nie co innego każdy zrobić powinien, odrzekli wszyscy.

— Widzicie sami, moi ludzie, jakie to różne mogły być wydarzenia, i jak człowiek baczny być powinien, aby nie bez zastanowienia i bez porady starszych nie czynić. Owe mniemane strzygi, upiory strachy są to bolesne, zmyślone zabytki ciemnoty i zabobonu. Wierz w Pana Boga, w nim nadzieję pokładaj, do Boga się uciekaj każdy we wszelakim zdarzeniu, a bez

woli Boga i włos ci jeden z głowy nie spadnie.

— Dziękujemy ślicznie Dobrodziejowi za tę naukę i tak potrzebne upomnienie, rzeknie Wojciech; toćby nikomu nie przetłomaczył, że nie ma strzygów albo upiórów, a tu jak słuchać Dobrodzieja, toć to święta prawda. Ale z przeproszeniem Dobrodzieja, dla czego się tak życie zatai w człowieku?

— Mój Wojciechu, rzeknie pleban, wiele jest tajemnic niedocieczonych w naturze. W chorobach wielkich, gorączkowych, bywa takie zatajenie życia, czyli jak zowią *przesilenie choroby*; człowiek zostaje między życiem a śmiercią; jeżeli siły życia są wielkie, przetrzymuje trudną i uporczywą chorobę, a choć na chwilę pozornie umiera, siły żywotne biorą górę i z czasem powracają i wtenczas człowiek budzi się niejako do życia.

— I czy to, Dobrodzieju, często takie bywają wydarzenia pozornej śmierci? zapytała Maciejowa.

— Nie często pewnie bywają wydarzenia letargu czyli śmierci pozornej, ale choćby w sto lat jednego człowieka żywcem zakopano do grobu i skazano na śmierć straszną głodu i uduszenia, to już byłoby okropne. Może nawet i często są te wypadki, lecz ludzie niebaczni mało na to dają uwagi.

Czasem sami naprzykrzacie się plebanowi, żeby wcześniej, przed wyjściem przepisane czasu, chował wam umarłego; a gdy pleban składa się wam przepisem, to ustąpić nie chcecie, biorąc to za jego przywidzenie. Uważcie więc z tego, czy dobrze sami robicie; iż czempredziej chcecie pogrześć żonę, dziecko lub rodzica?

— Jużćie nie dobrze, rzeknie Wojciech, ale któż to tam, mój Dobrodzieju, tak może znać i wiedzieć wszystko. Zdaje się każdemu, że byle ksiądz chciał, to wszystko zrobić może.

— Moi ludzie, i ksiądz ma pewne przepisy i prawa które wypełniać musi, tylko jako oświecony więcej rozumie, dla czego takie prawa i przepisy napisano.

I to źle niekiedy drudzy robią, że jak tylko kto ducha wyzionie, natychmiast wynoszą go z domu, niekiedy na mróz wystawiają do komory i sieni, i tak tam przez dwie doby aż do pogrzebu stać musi.

Jeżeli więc jeszcze naprawdę nie umarł, to umarzać musi i dobijacie go. I co do tego opowiem wam prawdziwe zdarzenie, o jakim ja sam później dowiedziałem się w innej parafii, którą wprzód krótko zarządzałem.

Dziecko soltysa ciężko zaniemogło i chorowało już długo; jednego wieczora wzmogła się choroba i dziecko konać poczęło; nareszcie uciszyło się, a wszyscy uznali, że skołało. Natychmiast przeto wyniesiono je do komory i tam gdzieś złożono. Była to zima i mróz na dworze. Niedługo pokładli się wszyscy, lecz jeszcze się nie pośpili, gdy dziecę w komorze wołać zaczęło: *tatusiu! tatusiu! nie dajcie mię, bo mię chce jakaś pani wziąć*.

Niebaczny tatuś zamiast poskoczyć i wynieść dziecko z zimnej komory i w pościel ciepłą obwinąć, on biedną dziecinę wytrzeźwioną lub ocuconą świeżem i mroźnem powietrzem uspokajając począł: *daj się synku, daj się wziąć tej pani; ona po ciebie przyszła!* Zwyczajnie dziecku gadali rodzice, że śmierć jest to pani, która dzieci zabiera; i dziecina w gorące to panią widziała.

Długo jeszcze dziecina na mrozie wołała coraz słabszym głosem: *tatusiu! mamusiu! nie dajcie mię tej pani wziąć!* długo ci bez serca rodzice leżąc w łóżku w ciepłej izbie uspokajali ją przezedrzwi: *daj się tej pani wziąć, daj synku!* i nareszcie nie ta pani, ale mróz i zimniejsze nadeń serca rodziców zabiły tę nieszczęśliwą ich głupoty i nieświadomości ofiarę!

— Ah! Dobrodzieju! Dobrodzieju kochany! czy to być może, rzekną na raz wszyscy; a toć to grzech nieodpuszczony takich rodziców, którzy tak dobili straszliwie dziecę.

— O, moi ludzie kochani! powie pleban, prawda to święta, com wam powiedział i wdrygają się słusznie wasze serca na tę niesłychaną dzikość ojca i matki. Oburzyło i mnie to okropnie, a gdy się w jakiś czas o tem dowiedziałem, przyzwawszy oboje tych nieszczęsnych, ciężkie im robiłem wyrzuty.

— Ależ, mój Dobrodzieju, odpowiadali oni kiedy dziecko już umarło, to czyż może powstać?

— Jakby umarło, rzekłem, tyby nie wołało na was: *tatusiu! mamusiu!* a kiedy wołało, to nie było umarłe, tylkoście żywe dziecko wynieśli do komory i tam umrozili na mrozie.

— Mój Dobrodzieju, któżby to mógł wiedzieć? rzekli oboje.

— O ludzie, załamalem ręce, toć tego wiedzieć nie możecie, że naprawdę umarli nigdy nie gada, ani się rusza, ani wzywa ratunku, a jak kto gada, to nie jest umarły. Ciężkoście zgrzeszyli i pokutujecie przez całe życie, żeby wam Pan Bóg grzech ten odpuścił.

— O, mój Dobrodzieju, dziś widzimy, żeśmy ciężko zawinili i mamy za co pokutować przez całe życie, rzekli oboje dopiero uznawszy swą winę.

— Widzicie więc, moi ludzie, dopowie ksiądz Świetosław, jak to na wszystko baczny być potrzeba. Nie jednemu zdaje się coś być małą rzeczą, a tu w następstwach wywinie się wielka zbrodnia. Nie dobrze też, że umarłego przenoszą niekiedy z łóżka na prostą słomę, żeby prędzej skonał. Ni o jedną minutę nie godzi się nikomu życia ukrócić. Czasem bywa długie konanie, czasem przesilenie choroby. Niejednemu doktorzy sami skazują na śmierć, krewni go odstąpią, sługa jakiś wierny pozostanie; czasem już mu twarz chustą przykryją, byle nie grubą, boby go udusić można, a tu po tem długim konaniu zaczynają siły i zdrowie powracać i chory powoli przychodzi do siebie.

— Jak to też tam człowiekowi przez myślbę nie przeszło, a tu można niejednemu skrócić życie i o śmierć go przyprawić, powie Wojciech.

— Widzicie z tego, co wam powiedziałem, ludzie moi, że jeżeli podczas choroby pilnie około chorego chodzić potrzeba, usługiwać mu troskliwie, niczem go nie martwić, wszystko czynić, żeby go do zdrowia przyprowadzić, to i wtenczas, gdy zawrze powieki i umrze, jeszcze nad nim dzień, dwa dni, lub więcej w miarę potrzeby czuwać trzeba i śledzić pilnie, czy to czasem śmierć nie jest pozorna, a życie nie jest utajone. Dopiero po wyraźnych znakach śmierci, po trupiiej bladeści i oznakach zgnilizny wątpić nie można, że śmierć nastąpiła i dopiero zając się trzeba uczciwym i chrześcijańskim pogrzebem. Czy dobrzeście wszystko pojęli i zrozumieli, ludzie moi? zapyta pleban.

— Dobrze, dobrze, odrzekli wszyscy.

— Zachowajcież to sobie w pamięci i drugich przestrzegajcie i nauczcie, żebyście przez nieświadomość nie grzeszyli.

— Dobrze, koehany Dobrodzieju, pamiętać wszystko i pouczać drugich będziemy, bo to nie mała rzecz kogo żywcem w dół zakopywać lub pozornie umarłemu nie dać pomocy, — odrzekli wszyscy, a skłoniwszy się swojemu pasterzowi, w milczeniu rozeszli się do domów swoich.

S.*

SĄD BOCIANÓW

Podanie

Gdzie bór odwieczny glucho szeleści,
Gdzie niezmierzone są błota,
Dziwne się w gąszczach kryją powieści;
Więc o czem jedno zdarzenie wieści,
Zaspiewać bierze ochota.

* * *

I biegnę duchem w puszcze i knieje;
Do Pińskiej wnikać dąbrowy,
Gdzie w las sąsiedni, ciemny, jodłowy
Dąb stary jeszcze wspomnienia wieje,
Choć już dziś runąć gotowy.

* * *

Na dębie broną z gniazdem szerokiem,
Przy dębce czerni pustkowie;
Stadło bocianie w wierniej umowie
Siadło na dębce pod chaty bokiem
Jakoś po Marca polowie.

* * *

W lecie wyklute drobne dziecińcy
W zielony puszek się stroją;
Ojciec karm znosi na szezyc drzewiny,
A matka pierśią ogrzewa swoją
Gronko młodziuchnej rodziny.

* * *

Ależ o! dziwo, między młodemi
Jednego postać zmieniona:
I dziobek krótszy, szyjka zgarbiona,
I tak się różni głosem z drugimi,
Choć u jednego spi łona?

* * *

Zkądże się wzięło? — Łatwa zagadka:
Swawolne chłopcy o', z chatki

Raz gęsie jaje pod skrzydło matki
Wsunęli nocą cicho z ukradka,
Ciekawi końca zagadki.

* * *

Ojciec ze smutkiem w gniazdo spoziera,—
Sądząc, że odkrył niewiarę,
Strąca na ziemię obcą poczwagę,
Szyję z boleścią w niebo zadziera,
Jakby tam wzywał o karę.

* * *

I tak mniemaną zdradą wybranęj
Przejął się ojciec strapiony,
Że straszny klekot na leśne strony
Rzucił z swęj piersi bólem szarpanęj,
I w bór poleciał zamglony.

* * *

Odleciał z rana,— aż nad wieczorem
Szum skrzydeł słyhać nad borem,
I coraz bliżej... i coraz więcej
Ponad jodłami, ponad futorem
Klekot się zbliża tysięcy...

* * *

Tysięcy białych bocianów chmura
Nad dąb stuletni podąża,
I wielkiem koleń toczy, okrąża,
I grozi matce struchlałej, która
Z trwogi się w gniazdo pogrąża...

* * *

Struchlała, nie wie, co gwar ten znaczy,
Ten klekot straszny, ta rada?...
Nieszczęsna matka! biada ci, biada!
Próżno swe dzieci tulisz w rozpacz, —
Wyrok niesłuszny zapada:

* * *

Gromada dziobów pierś jęj przeszywa,
I zrzuca z gniazda na ziemię;
Kwili z przestachu sieroce plemie;
Ona pod dębem pada nieżywa,
Aż w lesie jękło jęj brzemie.

* * *

Już łoskot skrzydeł ucichł w pomroku,
Zniknęły w boru bociany;
Lecz jeden jakby bólem szarpany

Błądzi wciąż jeszcze, i zpod obłoku
Okraża jodły i lany.

* * *

Aż zwinął skrzydła, jak strzala złata
Na ziemię pod dąb omszony,
I ginie obok matki straconej;—
A lud w tę powieść przestroę wplata,
Boleścią ptaka zdziwiony.

J. Gr.

DZIWNY SWAT.

PRZYPOWIASTKA.

Pewien bogaty pan hiszpański miał córkę jedynaczkę, o którą starało się bardzo wielu kawalerów; chcąc uczynić najlepszy między nimi wybór, chcąc rozpoznać, który z nich uszczęśliwić może jego córkę, użył ku temu dziwnego pośrednika czyli *swata*, małpę, która chowana we dworze była zarazem faworytą jego jedynaczki.

Z pomiędzy wielkiej liczby zalotników szczególniejszą zwrócił uwagę na trzech, i chciał się przekonać, który z nich prawdziwie córkę jego kocha i najmocniej jest do niej przywiązany. Ponieważ małpy szczególniej mają tę własność, że najprędzej i najdoskonalej naśladowają zwyczaj i obyczaj osób, z któremi jakiś czas przebywają, umyślił więc ojciec powierzać małpę pod dozór i opiekę na pewny czas z kolei trzem zalotnikom o rękę swęj córki, pod pozorem, że wyjeżdżając z nią w drogę daleką, nie ma przy kim zostawić jęj ulubionej małpy. Naturalna rzecz, że każdy z owych kawalerów chętnie się podejmował tęg opieki dla przypodobania się swemu przyszłemu teściowi, mając przy tem nadzieję, że tym sposobem i pannie się przypodobą.

Małpa więc bawiła przez kilkanaście dni przy jednym kawalerze; odebrał ją ów ojciec nareszcie z podróży wróciwszy. Skoro małpa weszła do swęj pani, rzuciła się zaraz na jadło; jadła, piła wino, żalroczniej i chiwięj niż to czyniła zwykle, aż nareszcie przy stole zasnęła. Z początku sądził stary pan, że małpa okazuje się tak obżartą dla tego, że cierpiała głód w gošcinie; widząc zaś, że to samo czyniła, drugiego

i trzeciego dnia, wniósł, że takiego nałogu obżarstwa i opilstwa nabyła u owego młodego kawalera, u którego kilkanaście dni w gościnie bawiła, domyślał się więc że i kawaler także podobną skłonność mieć musi. W rzeczy samej bliżej się o nim dowiadując, przekonał się, że domysł jego był istotną prawdą; kawaler miał codziennie gości, rachując na wielki posag przyszłej żony, pił, jadł aż późno w noc, i częstokroć przy stole ze swymi towarzyszami zasympiał. Takiemu więc zalotnikowi odmówić rękę swjej córki ojciec postanowił, gdyż starał się o nią tylko dla dogodzenia swjej skłonności do zbytków.

Tak samo bawiła małpa przez jakiś czas u drugiego zalotnika, i wróciwszy od niego do domu, pobiegła natychmiast do stolika, przy którym czasami grano w karty dla zabawy; szukała kart i znalazłszy je, przewracała, mieszała, zbierała, słowem wyrabiała z kartami wszystkie manewry, jakie grający wyrabiają. Naprowadzało to ojca na domysł, że ten drugi kawaler musi lubić grę w karty, postanowił lepiej się o nim wywiedzieć, a gdy się przekonał, że rzeczywiście jest tego rodzaju graczem, odmówił mu rękę swjej córki, gdyż przy takiej skłonności męża, żona szczęśliwą z nim być nie może.

Musiła więc Małpa pod takimże jak wprzód pozorem pójść w gościnę do trzeciego kawalera. Gdy od tego do domu wróciła, okazywała rozmaite swym zwykłym obyczajem miny, z których przecież niczego domyślać się nie można było; nareszcie zdjęła portret, postawiła go przed sobą, kłaniając się mu nisko, zaczęła wodzić po nim tam i sam palcami, jak gdyby malować go chciała, wzięła go znowu w łapki, biegła z nim po pokoju, przypatrywała się mu i całowała go i wdychała do niego, jak jaki rozkończany. Pilnie się dopytując ojciec, dowiedział się, że ów młodzieniec dla własnej rozrywki trudni się czasami malowaniem, że znacznie w tej sztuce postąpił i portret jego córki wymalował. Stąd wniósł, że ten kawaler dobrych jest obyczajów i pięknie postępuje, że dla zabawy przyzwoite obierać umie zatrudnienie; nakoniec, że szczerze kocha jego córkę; jemu więc bez dalszego namysłu oddał jej rękę, chociaż ze wszystkich zalotników najmniej był majątny.

Nie każdy wprawdzie ojciec szczęście swemu dziecku w związku małżeńskim zapewnić chcący, ma małpę, którejby mógł użyć do wysledzenia skłonności i sposobu życia swego przyszłego zięcia, znajdzie jednak wiele innych do tego celu posłużyć mogących środków.

W każdym razie małpa lepszym stała się swatem niż wielu ludzi, którzy biorą sobie za rzemiosło kojarzyć małżeńskie związki; bo tacy rzadko kiedy szczęście małżonków ale raczej własny interes mają na celu.

ROCZNE WIZYTY

W OCHRONACH WARSZAWSKICH.

Z liczby 16-tu Ochron ustanowionych dla niezamożnych dzieci odbyła się tu roczna wizyta w d. 1 Sierpnia w Ochronie N. 1 przy ulicy Stariej pod N. 1879/1. Opiekunem tej Ochrony jest W. Morytz Wincenty, zaś opiekunką W. Stankiewiczowa Anastazy, ; Dozorczynią Olkowska Maryanna, Pomocnicą Czubernatowiczowa Józefa.

Dzieci w czasie Wizyty Głównej, to jest dnia 1 Sierpnia 1866 r. było obecnych: Chłopców 47— Dziewcząt 33— Razem 80.

Z tych czytających 22— Syllabizujących 27— Znających litery 14.

Nagrody od Towarzystwa Dobroczynności były następujące, a mianowicie:

Książki oprawne, sztuk, 5 które otrzymali:

1. Bieniecki Michał— 2. Gumowski Władysław— 3. Bilard Jan— 4. Kosińska Walerya i 5 Erhardt Antoni.

Książki nieoprawne otrzymali:

1. Nieradzki Józef— 2. Zajączkowska Alexandra— 3. Mastalerska Maryanna.

Z ofiary W. Marytza książkę jedną otrzymała Remiszewska Otylija.

Z ofiary W. T. Dobroczynności także otrzymały następujące dzieci Obrazy:

1. Ciepliński Teodor— 2. Herdon Antoni— 3. Pawlik Maryanna.

Pończochy, które dzieci same zrobiły, par 8, otrzymały następujące dzieci:

1. Nawińska Wanda— 2. Herdou Rozalia— 3. Płowniakowska Józefa — 4. Plenio Wi-

ktorya—5. Andruszewska Franciszka—6. Lejkm
Maryanna—7. Cieszkowska Walerya—
8. Bałowska Ewa.

Z ofiary W. Morytza dano bułek dla dzie
ci 80.

O dalszych wizytach w pozostałych Ochro
nach powiemy następnie.

Szczepienie ospy ochronnej.

Główną i bardzo ważną epoką dla każdego
dziecięcia przychodzącego na świat, jest szcze
pienie ospy, zabezpieczające od zarazy tak
okropnej, jaka w dawniejszych czasach, nim
szczepienie zaprowadzone zostało, ogromne spu
stoszenia przez śmiertelność sprawiała.

Zaraza ospowa najprawdopodobniej z Arfyki
przeszła do Europy, a następnie po wszystkich
krajach się rozciągnęła. Dopiero na początku
ośmnastego stulecia, gdy zaprowadzone zostało
szczepienie ospy, zaraza a tem samem śmiertel
ność znacznie się zmniejszyła; albowiem przed
zaprowadzeniem szczepienia podczas dotknięcia
tą chorobą wszyscy umierali,— po zaprowa
dzeniu zaś szczepienia na tysiąc ludzi zaled
wie 8 umierało. Jednak wyznać należy, iż spo
sób ten szczepienia niecałkiem jeszcze zabez
piecza od złośliwej ospy; były nawet przykłady,
że na dwadzieścia siedm osób szczepionych
a dotkniętych ospą złośliwą, trzy życia traciły.
Jednakże chociaż ospa zdarza się niekiedy pa
nującą, bywa po większej części łagodną, co
zawisło głównie od przyswojenia ciała tej zara
zy przez szczepienie.

Szczepiąc ospę, należy dawać baczenie, ażeby
materya ospowa była świeżą i ze zdrowego dzie
cięcia,— zebrana zaś materya z dzieci skroful
icznych, mających liszaje, lub inne ostre lub
długociągłe wyrzuty skórne, ostrości wenerycz
ne i t. p., przez zaszczenie dać może powód
do wprowadzenia w ciało powyżej wyszczegół
ionych ostrości nieraz i u najzdrowszych dzieci,
co staje się wielce zadziwiającem dla rodziców
będących w stanie zopolnego zdrowia.

Szczepienie ospy odbywać się powinno na
wiosnę najwcześniej w połowie miesiąca Maja
w dzień suche i pogodny, aby dzieci po zaszcze
pieniu mogły być na świeże powietrze wypro
wadzane,— następne miesiące Czerwiec, Lipiec,
Sierpień równie są dla szczepienia sprzyjające.
W inną zaś porę choć niestosowną jedynie
podczas panującej zarazy ospowej szczepić należy.

Wiek dziecięcy do szczepienia ospy najstoso
wniejszy od 4-letniego do roku. W miarę
zaś zarazy ospowej u dzieci nawet młodszych
szczepienie ma miejsce.

Szczepienie ospy, zwłaszcza u osób młodych
co lat 7 lub 8 jako zabezpieczające nie byłoby
zbyteczne, jak to już w wielu miejscach przy
swojonem zostało.

Ochroniająca ospa zwykle bywa szczepioną na
górną część ramienia; po zaszczeniu w kró
tce miejsce to zostaje zaognionem, a między
szóstym a dziesiątym dniem występuje krostka
wypukła na kształt pęcherza wypełniona cieczą,
na okół której powstaje znaczne zaczerwienie
obrączkowe i za dotknięciem dająca się
czuć gorączkowość; obok tego towarzyszą oko
liczności katarowe i żołądka, a mianowicie ból
głowy i członków, płynie łez, nudności, wy
mioty. Po dziesiątym dniu następuje obsyche
nie ospy i wówczas pęcherzyki wypełnione cie
czą ropiastą opadają, pustuła czyli krostka ospy
wiednieje, wysycha i twardnieje, tworząc strup,
pod którym ukrywa się cokolwiek materyi.

Stan ten odbywa się pewnym porządkiem
i kończy się zwykle okół dnia piętnastego, zo
stawiając przez jakiś czas sine plamy a następ
nie nigdy w życiu niezatarte białe blizny.

Dr. Karwacki.

ZAGADKA.

Co to jest?

Na wielkiej łące
Owieczek tysiące,
Przez środek łąki rozstajne drogi
A pasterz łysy czasem nosi rogi.

Znaczenie poprzedniej zagadki:— „Nożyce.“